GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 CZERWIEC 1934

NR. 11 ROK IV

P.T. Two Ekonomiczne

K R A K O W

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 11
1934 R
1 — VI

KOMITET REDAKCYJNY

CZESŁAW BOBROWSKI, STEFAN BUCZKOWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI.

ZDARZENIA i POGLĄDY

ETAP.

Przez cały okres recesji konjunkturalnej polityka gospodarcza Rządu podtrzymywana przez większą część opinji, a przynajmniej przez tę część opinji, która ma wpływ na kształtowanie się linji politycznej, szła tym samym, wyraźnym szlakiem. Utrzymanie stałości kursu waluty, deflacja, rygorystyczna początkowo, a ostatnio nieco łagodzona skromnemi posunięciami, stanowiły ośrodek tej polityki, z którym sharmonizowana była jej całość. Polityka handlowa przyjęła za wytyczną utrzymanie za wszelką cenę aktywności bilansu handlowego, jako środka do utrzymania wolności wypłat zagranicznych. Akcja inwestycyjna (Funduszu Pracy przedewszystkiem) oparła się głównie o przychody skarbowe i ograniczyła się do skromnego zakresu, stanowiąc jedynie kompensatę spadku normalnych rządowych zamówień inwestycyjnych. Za wyjątkiem ostatniego półrocza budżet wykazywał stałą zniżkę wydatków. Koncepcje nakręcania konjunktury w tych warunkach nie znalazły gruntu i znaleść go nie mogły, obrana została linja raczej przystosowywania się do samorzutnego przebiegu procesów konjunkturalnych Zagadnienie rozłożenia ciężaru kryzysu pomiędzy te czy inne grupy społeczno - gospodarcze miało raczej charakter zagadnienia wtórnego. Posunięcia, jakie czyniono w kierunku przesunięć w rozdziale dochodu społecznego, miały zakres ograniczony, a zmierzały do likwidacji niektórych bardzo jaskrawych dysproporcyj, nie zaś do systematycznego kształtowania podziału dochodu społecznego w określony sposób. Polityka deflacyjna, faworyzowała wprawdzie grupę wierzycieli, jednocześnie jednak starano się drogą posunięć takich, jak np. ustawodawstwo finansowo - rolne, zabezpieczać interesy dłużnika, odraczając tem samem istotne rozwikłanie stosunków na później. Akcja interwencyjna oraz premjowanie wywozu zbóż jak również posunięcia w kierunku zmniejszenia ciężaru długów rolniczych, prowadzone w imię przywrócenia zachwianej równowagi w rozdziale dochodu pomiędzy wieś i miasto, nie wyrównały jaskrawej dysproporcji — w pierwszym wypadku skutkiem ograniczonych możliwości, stojących przed polityką podwyżki cen zbożowych, w drugim skutkiem ograniczonego zakresu wydanych zarządzeń oddłużeniowych. Pomimo wzrostu wskaźnika płac realnych ogólna kryzysowa tendencja zniżkowa objęła w sposób wyraźny również i dochody klasy pracowników najemnych, nietylko w związku z wzrostem bezrobocia, ale i w związku ze zmniejszeniem ilości dni pracy w tygodniu, przy przedłużeniu dnia pracy, redukcji urlopów, itp. Jaskrawą dysproporcję, jaką stanowiło usztywnienie udziału w dochodzie przemysłu skartelizowanego, starano się zredukować przez akcję zniżki cen, a w niektórych wypadkach przez rozwiązanie karteli. Jeżeli jakie hasło możemy uznać za naczelną wytyczną ostatniego okresu, to będzie niem „nie szkodzić pomagając". Nie pogłębiać przebiegu choroby przez walkę z jej objawami.

W harmonji z całością nie pozostawał bodaj że jeden tylko większy kompleks zagadnień: postęp procesów likwidacyjnych w dziedzinie likwidacji nadmiernego zadłużenia przedkryzysowego i w dziedzinie bankructwa „trupów".

Znaczna część prasy codziennej w związku ze zmianą gabinetu porusza zagadnienie zmiany kursu naszej polityki gospodarczej, wypowiadając się czy to za czy to przeciw. Niewątpliwie sama zmiana, określana przez obóz rządowy jako „zmiana warty“ nie stanowiłaby dostatecznej dla takich rozważań przyczyny. Natomiast moment konjunkturalny w jakim dokonała się zmiana gabinetu wyjaśnia w pełni, dlaczego zrodzić się musiały tego rodzaju rozważania. I to zrodzić się niezależnie od najpełniejszej nawet aprobaty dotychczasowej polityki gospodarczej. Źródłem tych rozważań jest obecna faza konjunkturalna u nas, jej stosunek do konjunktury światowej, i dysproporcja pomiędzy sytuacja poszczególnych odcinków naszej gospodarki. Zachętą do poszukiwania nowych torów dla naszej polityki gospodarczej jest przedewszystkiem fakt, że w szeregu krajów czy to w rezultacie nakręcania konjunktury, czy to procesów samorzutnych. objawy zbliżającej się poprawy (realnej czy pozornej, mniejsza z tem), są liczniejsze i silniejsze niż u nas. Drugi bodziec to obawy, że dalsze pogarszanie się sytuacji rolnictwa, pomimo poprawy w przemyśle, może zahamować proces wychodzenia z kryzysu. Trzeci moment, to wątpliwości, czy bez likwidacji przerostów w dziedzinie kredytu i własności przedsiębiorstw przejść można do następnych faz cyklu konjunkturalnego. Wreszcie ostatnie, może najbogatszym strumieniem bijące, zródło nowych koncepcyj i tendencyj, wiąże się z zagadnieniem rozdziału dochodu społecznego. Z jednej strony bowiem ciężar kryzysu dla niektórych grup społecznych staje się tak dalece nadmierny, iż powstaje kwestja dokonania świadomych przesunięć na ich korzyść, z drugiej—w obliczu ewentualności poprawy rodzą się tendencje dyskontowania jej na swoją rzecz. Słowem, mówi się o tem, o czem się w danej fazie konjunktury mówić musi.

Nie zamierzamy bynajmniej oddawać się przewidywaniom w jakim kierunku pójdzie polityka rządowa, nie zamierzamy również podejmować próby skonstruowania szkicu wskazań dla dalszej polityki gospodarczej. Na to ostatnie nie pozwala nam chociażby fakt, iż czytelnik na łamach naszego pisma obok zgodności poglądów w wielu punktach napotyka i na wyraźne rozbieżności. Pragniemy natomiast, po za wyjaśnieniem przyczyn, z racji których jesteśmy dziś świadkami ożywienia dyskusji na temat kierunku polityki gospodarczej, dać jeszcze krótki przegląd rysujących się tendencyj. Nie będziemy chyba w sprzeczności z faktami, stwierdzając, że dotychczasowy naczelny postulat — utrzymanie stałości waluty — nie jest, bynajmniej otwarcie atakowany, chociaż niejednokrotnie wysuwane koncepcje nie pozbawione są ryzyka walutowego. Ten moment uważamy jednak za mniej ważny poprostu dlatego, że szanse skierowania naszej polityki gospodarczej na drogę zawierającą wymienione ryzyko, wydają się nam zerowe. To też ważniejsze są inne momenty. Momenty te stanowią wachlarz o dużej rozpiętości. Na jednem skrzydle tego wachlarza spotykamy się z nawoływaniem do możliwie ścisłego kontynuowania linji dotychczasowej. Do utrzymania deflacji jako zasady, a do wzmożenia jedynie posunięć zmierzających do likwidowania jaskrawych dysproporcyj, takich, jak ceny monopolowe czy kartelowe. Po tej samej linji idą głosy, domagające się oszczędności budżetowych i wypowiadające się przeciwko nowym operacjom kredytowym na rynku wewnętrznym. Nie byłoby słusznem łączenie z tą grupą postulatów tendencji, zdążającej do zmniejszenia obciążeń społecznych w drodze przebudowy ubezpieczeń. O ile bowiem postulaty wymienione poprzednio, tłomaczą się bez reszty w płaszczyźnie ogólnego założenia dostosowania poszczególnych pozycyj do ogólnego poziomu kryzysowego, o tyle w zagadnieniu ubezpieczeń wchodzi w grę cały wielki kompleks momentów ubocznych. Z punktu widzenia omówionej wyżej grupy koncepcyj roboty inwestycyjne nie były wskazane, natomiast należałoby mieć na widoku konieczność odbudowy kapitałów obrotowych przedsiębiorstw. Na drugim krańcu wachlarza znajdziemy dążenie do wysunięcia wielkich prac inwestycyjnych na pierwszy plan. Zarówno co do celu tych robót, jak i sfinansowania ich, istnieją spore rozbieżności wśród ich propagatorów. Jeśli chodzi o sfinansowanie, to źródeł szuka się czy to w przelaniu na ten cel środków, uzyskiwanych na cele ubezpieczeniowe, czy też w operacjach kredytowych na rynku wewnętrznym lub zagranicznym, czy wreszcie — sub rosa — w emisji. Niektórzy ze zwolenników akcentują jako moment szczególnie doniosły w uruchomieniu robót publicznych najprostszego typu możność zwiększenia konsumcji wiejskiej i zapobieżenia tą drogą nadmiernej podaży. Inni podchodzą do sprawy pod kątem zatrudnienia maksymalnej liczby bezrobotnych, inni wreszcie widzą w nich przedewszystkiem środek dla ożywienia przemysłu inwestycyjnego. O ile sądzić można, to w przeciwieństwie do tych dwóch grup tendencji, osłabieniu uległy dążenia i nadzieje na wyrównanie podstawowej dysproporcji naszej sytuacji gospodarczej, jaką są nożyce cen rolnych i przemysłowych, przez podwyżkę cen płodów rolnych. Tem więcej natomiast wysuwa się na czoło postulat oddłużenia rolnictwa poprzez śmiałą i wydatną akcję ustawodawczą. i wogóle prowadzenie polityki pro-

rolniczej raczej drogą kompresji strony rozchodowej budżetu rolnika, aniżeli tak trudnego do osiągnięcia zwiększenia jego dochodów. Liczy się przytem, że zahamowanie nacisku finansowego na wieś walnie przyczyni się do uregulowania podaży, a w konsekwencji i wzrostu cen płodów rolnych. Z zagadnieniem oddłużeniowem stawianem zresztą w mniej wyraznej formie i odnośnie przemysłu, wiąże się integralnie problem „likwidacji trupów", wiążą się przedewszystkiem obawy, ażeby akcja oddłużeniowa, zwłaszcza na terenie wielkiego rolnictwa, nie przewlokła wegetacji jednostek, niezdolnych do życia.

Przegląd tendencyj, który podaliśmy wyżej, nie jest zupełny, nie jest też może dostatecznie uporządkowany, zwłaszcza, że w poszczególnych wystąpieniach zarysowują się małżeństwa pomiędzy dążeniami, które zaliczyliśmy do różnych grup. Chodziło nam jednak przedewszystkiem o zilustrowanie faktu, że zanim jeszcze nastąpiło wyraźne ożywienie gospodarcze, mamy już wyraźne ożywienie w dziedzinie lansowania nowych koncepcyj polityczno - gospodarczych, i o częściowe sporządzenie rejestru ewentualności, pomiędzy któremi musi być dokonany wybór.

JÓZEF PONIATOWSKI

WNIOSKI PRAKTYCZNE

Dla dopędzenia innych bardziej się nadaje szlak utorowany niż bezdroże. Nie należy jednak sądzić, że każda ścieżka, którą ktoś pobiegł na oślep, jest szlakiem utorowanym.

Pisząc niedawno o narastającym procesie koncentrowania dyspozycji, zająłem wobec tego procesu stanowisko obserwatora, które porównałem ze stanowiskiem meteorologa, wobec zjawisk atmosferycznych. Dziś wypada się zająć pytaniem, jaką postawę ma tu zająć społeczeństwo i władze państwowe zbyt zainteresowane, by się ograniczały do roli obserwatora.

Trzy różne postawy są tu do pomyślenia: 1) sprzeciw, 2) współdziałanie, 3) neutralność, ew. z odchyleniami w stronę stanowiska sprzeciwu albo wspódziałania.

Przeciwstawienie się skupieniu dyspozycji oznaczałoby dążenie do jej rozproszenia, do zwiększenia swobody jednostek, do przywrócenia liberalizmu. Na korzyść takiej postawy przemawiają oczywiście przesłanki czysto gospodarcze. Naczelna teza szkoły liberalnej, wedug której powszechna wolność gospodarcza stwarza optymalne warunki dla osiągania najwyższego czystego dochodu społecznego, nie jest i zapewne nigdy nie będzie obalona.

Nie jest wszakże przypadkiem, że do rozproszenia dyspozycji nie dąży dziś żaden kraj na kuli ziemskiej. Czynniki gospodarcze zyskały olbrzymi wpływ na politykę gospodarczą, a zagadnienia podziału dochodu społecznego o wiele bardziej wzruszają współczesne społeczeństwa od samej jego wielkości. Nawet w państwie izolowanem nie byłoby dziś możliwe skupienie przy programie liberalnym energji społecznej, dostatecznej dla jego urzeczywistnienia. Tembardziej utopijnym byłby taki program w obecnych stosunkach międzynarodowych. Sama możliwość konfliktów zbrojnych zmusza do daleko sięgającej interwencji, nadto powszechna nieufność uniemożliwia osiąganie korzyści z wolnego podziału pracy między państwami, a dzisiejsze systemy wymiany narzucają potrzebę skoncentrowanej i elastycznej dyspozycji.

Integralny liberalizm nie będzie nigdy urzeczywistniony, jak żaden inny system w stanie teoretycznie czystym. Ewolucja ku liberalizmowi kiedyś nawróci, ale dziś jeszcze brak wszelkich elementów dla tego nawrotu. W tych warunkach polityka ostrego preciwstawienia się skupianiu dyspozycji, a tembardziej rozpraszania dyspozycji, zwłaszcza dla kraju o szerokich, otwartych granicach w położeniu geograficznem Polski, musiałaby być uznana za nierealną. Ma ona zresztą tak znikomą liczbę zwolenników, że bynajmniej nie wymaga zwalczania.

Za polityką idącą zdecydowanie po linji przyśpieszania i wzmacniania dzisiejszego procesu ewolucyjnego przemawiałaby przedewszystkiem zgodność tej linji z powszechnem życzeniem, doskonale przygotowany grunt psychiczny, nacisk społeczeństw żądających od Państwa przejęcia całej dyspozyji, całej odpowiedzialności, całego ryzyka. Nie mniejważna jest możność osiągnięcia przez organizm państwowy o silnie skoncentrowanej dyspozycji wysokiej sprawności i elastyczności, jakkolwiek niepodobna twierdzić, jakoby samoześrodkowanie dyspozycji już zapewniało osiągnięcie sprawności. Trzecim argumentem na korzyść zdecydowanego przejścia do gospodarki planowej jest nielogiczność stanu częściowego interwencjonizmu, stąd wynikające zgrzyty i szkody. Można łatwo bronić stanowiska, że skoro nastrój dzisiejszy, z jego mieszaniną nieskoordynowanych elementów kapitalizmu i gospodarki państwowej, nosi wszelkie cechy przejściowości, a cofnięcie się ku liberalizmowi jest nieaktualne, tedy sama logika narzuca konieczność jaknajszybszego posunięcia się w kierunku przeciwnym. Można dodać, że skoro świat idzie w tym kierunku, niektóre kraje znacznie nas pod tym względem wyprzedziły, jest już rzeczą ambicji narodowej i aktywności nie dać się wyprzedzać, stanąć w pierwszym szeregu, przodo-

wać innym, a nie wlec się za nimi. Ważną okolicznością jest przytem fakt, że zdecydowana, śmiała polityka, prowadzona pod hasłem gruntownego przeobrażenia niepopularnej rzeczywistości, może się stać czynnikiem entuzjazmu, wyzwolenia energji społecznej, jak to miało miejsce w ZSRR., we Włoszech i w Niemczech. Eksponowane położenie geopolityczne Polski, oraz zdecydowaneześrodkowanie dyspozycji u obu naszych najpotężniejszych sąsiadów nie mogą również być pominięte.

Wymienione czynniki wystarczają, by uczynić zrozumiałemi dotychczasowe postępy interwencjonizmu w Polsce i uczynić możliwem (co nie znaczy koniecznem, albo: pożądanem) posunięcie się aż do prób gospodarki planowej.

Nie mniej ważne przesłanki przemawiają jednak przeciwko pośpiesznemu likwidowaniu resztek liberalizmu i przejmowaniu całkowitej dyspozycji. Momentem decydującym jest tu brak dojrzałego planu posługiwania się skoncentrowaną dyspozycją na dłuższą metę, a co gorsza, brak pewności, czy taki plan wogóle może być realny. Jak się zdaje, plan taki usiłują stworzyć dotychczas jedynie Sowiety, wszakże wyniki sowieckiej gospodarki, daleko od katastrofy, którą im zbyt pohopnie przepowiadano, nie pozwalają jeszcze twierdzić, jakoby system tam stosowany zdał egzamin przynajmniej dla specyficznych warunków swego kraju, a tem mniej, jakoby się nadawał do generalizowania. Niemcy posiadały już przed przewrotem pewne fragmenty planu, pewne wytyczne dla gospodarki, jest to wszakże bardzo odległe od świadomości mechanizmu regulowania procesów gospodarczych. Faszyzm włoski przedwcześnie chlubił się opanowaniem tych procesów, mówiono tam z pogardą o gospodarce kapitalistycznej; a oto okazało się, że nie jest w stanie nietylko uniknąć, ale nawet osłabić u siebie największej bolączki kapitalizmu — złośliwego przebiegu konjunktury. Zarówno Niemcy jak Włochy są raczej krajami szukającemi nowych dróg, ale powstaje pytanie, czy słuszne jest przejmowanie dyspozycji w nadmiernym zakresie przed ich znalezieniem. Poszukiwania koncepcji w głębi umysłów są zawsze pożądane, ale poszukiwania drogą empiryczną w gospodarstwie społecznem są zbyt kosztowne i zbyt mało mają szans powodzenia, jeżeli są podejmowane przed dojrzałem opracowaniem koncepcji, któraby przed poddaniem próbie życia wytrzymała przynajmniej próbę logiki. Wejście na niepewną drogę, później cofanie się, wywieszanie i zwijanie haseł, może sę udać raz i drugi, ale nie zwiększa zaufania ani do Państwa, ani do stałości stosunków.

W Polsce nie możemy się skarżyć na brak projektomanji. Czemże się da wytłumaczyć, że żaden z najzagorzalszych zwolenników planowej gospodarki nie pokusił się o sprecyzowanie hierachji celów, które planowa gospodarka miałaby realizować, hierachji ocen, któremi miałaby się posługiwać, hierarchji środków, które miałaby stosować? Czy nie dlatego, że ten problemat nastręcza trudności bodaj nie do przezwyciężenia. Domyślenie go do końca nikomu się dotąd nie udało. Zwolennicy t. zw. nowego ustroju poświęcają zazwyczaj przeważną część prac krytyce ustroju dotychczasowego, resztę — stronie formalnej wprowadzenia nowego ustroju, niekiedy, bardzo mglistym zasadom ogólnym, jak „sprawiedliwość społeczna", „prawo do pracy". albo „obowiązek pracy" i t. p. unikając starannie określenia samej istoty ustroju i jego fizjologji.

Opanowanie całego życia gospodarczego, a tego przecież wymaga gospodarstwo planowe, jest nie do pomyślenia bez dokładnego poznania i zrozumienia mechanizmu zjawisk gospodarczych. Brak ciągłej tradycji gospodarczej w Polsce, skąpy zasób doświadczenia, nie sprzyjają rozpowszechnieniu się tego zrozumienia. Nasze ubóstwo nie pozwala na dokonywanie licznych eksperymentów.

W tych warunkach ryzykuję twierdzenie, że *zwiększenie tempa koncetrowania dyspozycji nie odpowiadałoby dzisiejszemu układowi stosunków objektywnych, że stosunki polskie niezupełnie jeszcze dojrzały do tego napięcia interwencjonizmu; z jakiem mamy już teraz do czynienia.* Odnosi się to nie tylko do nas, ale i do wielu innych krajów. Dopóki nigdze niemal niema dotąd planowej polityki gospodarczej, t. zn. działania państw w tych dziedzinach, w których dyspozycja już do nich należy, nie są porządkowane jednolitej hierachji ocen, dopóty marzenia o planowaniu całej gospodarki społecznej są przedwczesne. Dla Polski przedmiotem ambicji winno być na dzisiaj nie imponowanie światu eksperymentami o niepewnych skutkach, czego wciąż domaga się część opinji publicznej, ale wyrównanie naszego upośledzenia w dziedzinie narzędzi pracy, w dziedzinie stopy życia najszerszych mas ludności, wreszcie — w dziedzinie rozumienia zjawisk gospodarczych. Próby *przodowania* przed *wyrównaniem* dowodziłyby jedynie niedojrzałości. Kosztowne eksperymenty, dokonywane przez innych, winniśmy śledzić i wyciągać z nich wnioski. Nie w każdej dziedzinie i nie w każdej chwili można podejmować się roli pioniera. Okres szarpaniny gospodarczej, niezdecydowania, cofania się, niszczenia kapitału w gospodarce światowej zwiększa szanse wyrównania dla krajów, które do niego dążą wytrwale i ekonomicznie. Cierpliwe stosowanie cudzego dorobku do własnych warunów, przy unikaniu cudzych błędów jest właściwą polityką krajów mających zaległości do odrobienia. Ta właśnie polityka pozwoliła Japonji w ciągu lat kilkudziesięciu nietylko wyrównać poprzednie cofanie, ale zdobyć potęgę, pozwalającą na stawianie sobie celów najbardziej ambitnych.

Jak wynika z powyższych rozważań; uważam za wskazaną dla Polski na lata najbliższe w stosunku do światowej ewolucji ustrojowej, politykę rezerwy i czynnego wyczekiwania. Czynnem wyczekiwaniem nazywam wytężoną działalność, obróconą nie na posunięcie się w nowym, a nieznanym kierunku, ale na takie przystosowanie się do już zaszłych procesów, któreby zapewniało swobodę decyzji, możność wyboru dróg, gdy konieczność ich wyboru dostatecznie dojrzeje. Chodziłoby tu zwłaszcza o sharmonizowanie, ujęcie w możliwie logiczną całość tego interwencjonizmu, który

już posiadamy drogą faktów, nierzadko dość przypadkowych. Dopasowanie całej polityki gospodarczej będzie wymagało dalszego i silniejszego wkroczenia Państwa w pewnych dziedzinach i wyrzeczenia się dyspozycji, przynajmniej bezpośredniej, w innych. Równocześnie wielki wysiłek musi być położony na wytworzenie własnych kapitałów, przyczem odrazu należy rozwiać złudzenie, jakoby można było wynaleźć taki ustrój, w którym nasze upośledzenie kapitałowe straciłoby znaczenie. Produkcja bowiem w żadnym ustroju nie może się odbywać bez współdziałania przyrody, pracy i kapitału. Równocześnie trzeba się zastrzec przeciw prymitywnemu utożsamianiu kapitalizacji ze wzrostem wkładów oszczędnościowych w bankach, jak również przeciw mniemaniu, że przesunięcia w podziale dochodu społecznego na niekorzyść spożycia zawsze sprzyjają kapitalizacji.

Stopień obarczania Państwa odpowiedzialnością za wyniki procesów gospodarowania jest w Polsce o wiele większy od stopnia rzeczywistego opanowania tych procesów przez scentralizowaną dyspozycję państwową. Taki stan rzeczy jest w wysokim stopniu niezdrowy, osłabia poczucie odpowiedzialności za własne czyny w społeczeństwie, a równocześnie naraża autorytet Państwa na szwank. Raczej życzyćby sobie należało stanu odwrotnego, aby każdy obywatel był przekonany, że jego pomyślność jest zależna wyłącznie od jego własnego wysiłku, chociażby w rzeczywistości Państwo nadawało tym wysiłkom kierunek. Cóż należy uczynić, by taki stan osiągnąć?

Przedewszystkiem interwenjować drogą pośrednią, nie zaś bezpośrednią. Interwencja bezpośrednia mogłaby być uzasadniona dopiero w daleko posuniętem stadjum gospodarki planowej, przyczem pomijam zupełnie zagadnienie, czy taka planowość mogłaby być pożądana i realna. Przy pomocy takich środków interwencji pośredniej jak taryfa celna, system podatkowy, system taryf przewozowych, ogólne normy prawne, polityka traktatowa, można w znacznie jeszcze silniejszym stopniu wpływać na bieg zjawisk, niż to ma miejsce obecnie. Możnaby się zastanowić czy nie należy tu dodać polityki emisyjnej, jakkolwiek jej klasyczne zasady wymagałyby niezależności od polityki interwencynej. Jeszcze wśród środków interwencji bezpośredniej są takie, nawet potężne, jak polityka lokacyjna, które przy ostrożnem prowadzeniu i wyznaczaniu raczej kryterjów niż indywidualnych rozwiązań, nie narzucają szerszemu ogółowi przekonania o reglamentacji. Niekiedy wypadki zewnętrzne zacierają różnicę między interwencją pośrednią i bezpośrednią, n. p. dzisiejsza technika wymiany międzynarodowej zmusza do tak daleko sięgającej indywidualizacji w polityce celnej i kontyngentowej, która już graniczy z interwencją bazpośrednią. Nie traktując tedy rozgraniczenia między obu formami jako matematycznie ścisłego, należy jednak dążyć do osiągania celów, gdzie tylko to jest możliwe, drogą pośrednią, drogą stwarzania norm, jaknajbardziej (w granicach dzisiejszych warunków) ogólnych, dających ramy, wewnątrz których znowu podmioty gospodarujące ponosiłyby całkowitą odpowiedzialność za swe decyzje.

Drugim postulatem, zmierzającym do tego samego celu, jest dążenie, znowu w miarę możliwości wyznaczanej przez warunki, do stałości, prostoty i dostępności działań polityki gospodarczej. Jej kryterja powinny być ogólnie znane. Jej zarządzenia powinny dawać się przewidzieć na podstawie objektywnej oceny położenia. Interwencja powinna jaknajmniej nosić charakter czynnika perturbacyjnego, nieobliczalnego, zależnego od wpływów subjektywnych.

Trzecim warunkiem odbudowy poczucia odpowiedzialności w społeczeństwie, skutecznym tylko przy konsekwentnem zastosowaniu obu poprzednich, jest umiejętna propaganda; uświadamiająca o rzeczywistym układzie stosunków objektywnych, o celach polityki państwowej, o ściśle ograniczonym zakresie jej oddziaływania, o możliwościach, jakie stoją przed decyzją jednostek. Nie mniej ważne jest unikanie propagandy, zapisującej wszystko, co się stało na karb działalności Państwa, wytwarzającej nad wyraz szkodliwą sugestję, jakoby Państwo było wszechobecne i wszechmocne, jakoby już ujęło w więź reglamentacyjną całą rzeczywistość i przez to samo przejęło za nią całkowitą odpowiedzialność. Skutkiem takiej właśnie błędnej propagandy jest tak rozpowszechnione przekonanie, że obowiązkiem Państwa jest zapewnienie opłacalności gospodarowania w tej lub innej branży, albo obciążenie Państwa odpowiedzialnością za kryzys gospodarczy.

Przykładem bodaj najjaskrawszym zaniedbania stosowania się do wszystkich trzech wyżej naszkicowanych postulatów jest działalność Państwowych Zakładów Przemysłowo - Zbożowych. W dziedzinie szczególnie słabo opanowanej przez dyspozycję państwową i szczególnie trudnej do opanowania, gdzie suma wpływu wszystkich kosztownych środków interwencyj pośredniej i bezpośredniej łącznie wystarcza zaledwie do lekkiego i niezawsze zgodnego z zamierzeniami modyfikowania procesów naturalnych, stworzono aparat interwencji bezpośredniej. Aparat ten stosuje politykę starannie zakonspirowaną, kryterja, któremi się powoduje są nieznane, a sądząc z obserwacji działań, są zmienne, indywidualizuje dostawców, wybitnie zależy od decyzyj subjektywnych, w rezultacie jest potężnym czynnikiem perturbacyjnym, wypłaszającym kapitał kupiecki. Równocześnie propaganda P. Z: P. Z. zmierza do wpojenia w społeczeństwo wiary we wszechmoc instytucji, skąd nieuniknione rozczarowania i zmniejszenie odporności psychicznej społeczeństwa rolniczego.

Nie mało przykładów możnaby znaleźć w działalności banków państwowych i przedsiębiorstw państwowych, przyczem bynajmniej nie chcę powiedzieć, by każde z posunięć interwencji bezpośredniej było samo w sobie błędne, albo wynikało z fantazji kierownika odpowiedniej instytucji. Raczej przeciwnie, interwencja bezpośrednia najczęściej stanowi oportunistyczną reakcję na pewne fakty zewnętrzne, podobnie, jak etatyzacja poszczególnych objektów gospodarczych zawsze nie-

mal odbywa się jakgdyby wbrew woli czynników państwowych, wskutek powstania pewnych trudności, zazwyczaj zresztą także związanych z poprzednią polityką interwencyjną.

Mówiąc o praktycznych zarządzeniach, jakich wymaga dzisiejsze położenie konjunkturalne, będę jeszcze miał możność zilustrowania, jakie posunięcia interwencyjne mogą nie osłabić, ale przeciwnie, wzmocnić w społeczeństwie poczucie indywidualnej odpowiedzialności.

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

TELESKOP i KASZA

Spółdzielczość, zapatrzona w gwiazdę nowego ustroju, musi mieć mocne nogi, aby nie upaść w pochodzie mas społecznych którym ma służyć.

W roku bieżącym upływa 90 lat od założenia spółdzielni „sprawiedliwych pionierów" w Rochdale. Już więc tylko krótki okres dzieli spółdzielczość od stuletniej rocznicy czynu, który dzięki swemu rozwojowi nazwany został „jedynym udatnym eksperymentem społecznym XIX wieku". Czy jednak w r. 1944 spółdzielczość będzie mogła powiedzieć o sobie więcej, aniżeli zanotowała historja *ubiegłego* stulecia?...

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rezultaty pracy stawiają spółdzielczość powyżej — dajmy na to — związków zawodowych lub robotniczych stronnictw politycznych, z któremi zwykło się łączyć spółdzielnie, gdy w grę wchodzi zorganizowanie proletarjatu do walki z kapitalizmem. Nawet w Polsce, która stoi w ogonie rozwoju kooperacji, nie można wymazać z kalkulacji społeczno - gospodarczej ani faktu istnienia 17.000 spółdzielni, ani skupiania przez nie ok. 3½ miljona członków, ani ½ miljardowych obrotów 9.000 spółdzielni towarowych (1932 r.), ani sumy ok. 1 miljarda zł., jaką wszystkie spółdzielnie dysponują w formie kapitałów własnych i obcych.

Mimo to przez ogół uświadomionych spółdzielców (są bowiem — i to w większości — spółdzielcy nieuświadomieni) ustawicznie przebiega zapytanie: „Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle"? — Osiągnięcia, skądinąd b. korzystne, ale indywidualne, lokalne nie wystarczają. Rodzi się potrzeba wykazania się wysiłkiem masowym, konsekwentnym i programowym. Ku czemu idzie spółdzielczość? Jakie mają być jej drogi i metody realizacyjne? Jaką rolę ma ona odegrać w całokształcie rozwoju gospodarstwa narodowego i gospodarki światowej? Czy spółdzielczość wprowadzi nas do nowego ustroju?...

U podłoża ideologicznych założeń spółdzielczości leży — *niemoralność* liberalnego kapitalizmu połowy ubiegłego stulecia. Wyzysk klas ekonomicznie słabszych przez silniejsze, zbyt forsowne i zachłanne dążenie tych ostatnich do nadmiernego ubogacenia się „per fas et nefas", karykaturalnie wadliwy rozdział dochodu społecznego — oto w grubszym zarysie tło czy kanwa zarówno *podstaw*, jak i *powodzenia* spółdzielczości w jej młodzieńczym okresie „Sturm und Drang'u". Jak silny jest wpływ czynników natury *moralnej* na konstrukcję wytycznych spółdzielczości, jak momenty *etyki* społecznej przesądzają stosunek spółdzielczości do kapitalizmu — może świadczyć praca St. Thugutta, będąca w polskiej literaturze spółdzielczej jedną z niewielu prób zarysu ideologji [1]), pojętej nb. sub specie aeternitatis. Spółdzielczość — przeciwstawiona przez autora *światopoglądowi* kapitalistycznemu ma być „sposobem życia czystego i zdrowego, moralnością, hamulcem przed wszystkime; co jest złe, nieczyste i liche, wiarą w wielkie rzeczy" (Thugutt str. 184).

Nadmiernie szeroka interpretacja zasadniczych celów kooperacji grozi jej sprowadzeniem na manowce frazesu i ogólników. To też dążenie do sprecyzowania pojęcia spółdzielczości narzuca się z wielką siłą, chociażby precyzja miała się przyczynić do ujawnienia „klasowych" różnic ideologicznych, a może właśnie dlatego. Wspomniany bowiem autor żałuje, iż w trakcie materjalnych powodzeń spółdzielczości „szala się przechyliła wyraźnie na stronę korzyści doraźnych, że się zamglił cel daleki lecz wielki" (69).

Jaki to cel? — Lat temu 30 Międzynarodowy Związek Spółdzielczy uchwalił, że spółdzielczość to „ruch wyzwoleńczy w dziedzinie gospodarki społecznej i zmierza on do nowego ustroju życia gospodarczego i społecznego". Nie jest to wyraz dążeń, przyświecających *wszystkim* spółdzielcom, bo gdy jedni z nich chcą poprzez spółdzielnie obalić lub zmienić istniejący ustrój, to inni chcą go tylko zreformować, łagodząc jego ostre kanty. Widząc w ruchu spółdzielczym jeden z ważniejszych czynników walki klasowej (127), zapomina p. T. jednak o tem, co sam napisał o parę wierszy wcześniej, że „akcja ustawodawcza, która rozdziela ciężar utrzymania państwa pomiędzy poszczególne warstwy jest także walką klasową" (126). Gdzież więc—chciałoby się powiedzieć: monopolistyczny — cel spółdzielczości, jeżeli skromne ustawodawstwo podatkowe osiąga te same wyniki?

Nie, wyniki (zamierzone) są jeszcze inne. Celem spółdzielni jest polepszenie stanu gospodarstwa członków, podniesienie ich zarobków, tudzież podwyższenie ich poziomu moralnego i umysłowego (107). Zgoda! Bo czemże jest spółdzielczość, jak nie *dążeniem warstw ekonomicznie słabszych do uaktywnienia swej roli w gospodarstwie narodo-*

[1]) Stanisław Thugutt „Spółdzielczość. Zarys ideologji" (Warszawa 1934 r. Wydawnictwo Spółdzielczego Instytutu Naukowego. Stron 191).

wem? — Zadaniem spółdzielczości jest wyrównanie szans we współzawodnictwie ekonomicznem, jak p. Thugutt sam przyznaje — wyrównanie różnic majątkowych pomiędzy ludźmi. Spółdzielczość tak czy inaczej jest więc zorganizowaną korekturą rozdziału dochodu społeczną, tem ważniejszą z punktu widzenia gospodarki narodowej, że pomaga ona wprowadzić do obrotów elementy, niedoceniane w chwilach bujnego rozkwitu kapitalizmu. Spółdzielczość jest nakoniec szkołą gospodarowania, seminarjum z dziedziny praw, rządzących życiem gospodarczem, praktycznemi kursami zagadnień gospodarczych.

I doprawdy wydaje się sprawą drugorzędną, czy i w jakim stopniu sklepy, banki i przetwórnie spółdzielcze kierują nas do bliżej zresztą nieokreślonej „Rzeczypospolitej Spółdzielczej". Decydującym momentem jest gospodarcza i społeczna *sprawność* czy przydatność organizacyj spółdzielczych. Nie znaczy to jednak, by kooperatywy miały być tylko *punktami* handlowemi lub kredytowemi. I spółdzielni *„sprawiedliwych pionierów"* roczdelskich i każdej dzisiejszej spółdzielni musi przyświecać coś więcej, niż dobry towar po cenach rynkowych. Tem „więcej" będzie silna wiara w siłę wewnętrzną więzi członkowskiej, atmosfera zaufania i lojalności wzajemnej, wreszcie sublimowanie walki i współzawodnictwa, których pierwiastki — jak przyznaje p. Thugutt — tkwić będą zawsze w członku.

Wymienione cechy przesądzają jednak tylko stronę wewnętrzną. By spółdzielnia mogła odegrać swoją dodatnią dla społeczeństwa rolę, musi ona ponadto działać w zespole warunków, układającym się korzystnie dla takich, jak spółdzielczość, form gospodarowania. Cały szereg pisarzy spółdzielczych nie zdaje sobie z tego sprawy, podchodząc do zagadnienia w sposób abstrakcyjny, doktrynalny, sub specie aeternitatis. Cytowany autor zdaje się niedostatecznie uświadomił sobie współzależność pomiędzy systemem gospodarczym a możliwością powstawania i rozkwitu spółdzielczości. W jednem miejscu stwierdza on, że przeszkodą bierną założenia spółdzielni jest system gospodarki naturalnej, w drugiem zaś pisze, iż podłożem spółdzielczości na Zachodzie w ubiegłem stuleciu był fakt istnienia „wielkich skupień ludności, złożonej z jednostek o jednakowych *interesach* gospodarczych, jednakowych *tendencjach* i naogół dość jednakowych *poglądach*" (37 — podkreślenia moje). Z obu tych uwag autor nie wysnuł jednak należytych konsekwencyj,, przez co polski czytelnik i obserwator zatraca kontakt z polską rzeczywistością, która sprawia, iż w epoce panowania wszechwładnego, zdawałoby się, wielkiego kapitału rozkwit spółdzielczości w Polsce napotyka na trudności właśnie nie ze strony swego „zasadniczego" wroga. Istotnym nieprzyjacielem kooperacji w takich krajach, jak Polska, nie jest wielki trust czy kartel, jak to ma miejsce— dajmy na to — w Szwecji, lecz prymitywna, naturalna gospodarka naszego chłopa i żydowskiego pośrednika. I ten chłop i ten żyd posiadają niebywałą zdolność redukcji swych potrzeb konsumcyjnych do takiego poziomu, że najekonomiczniej prowadzona spółdzielnia staje się niekonkurencyjna. Ileż to razy — zwłaszcza na Ziemiach Wschodnich — zdarza się, że przyczyna niepowodzenia najlepszej nawet spółdzielni rolniczo - handlowej twi w różnicy kosztów przewozu, których nie liczy sobie drobny rolnik, dostarczający przygodnie prywatnemu kupcowi zboże loco rampa stacyjna. podczas gdy spółdzielnia, chcąc to zboże przewieść ze wsi do kolei, musi wynająć choćby tego samego chłopa, który wówczas traktuje ten wyjazd komercjalnie i żąda za przewóz wynagrodzenia. Gdzie więc rynek jest kapitalistycznie zorganizowany, tam spółdzielnia może wystąpić do walki, ale w okresie czy miejscu panowania gospodarki bezpieniężnej, naturalnej, prymitywnej szanse jej są równe zeru.

Ale też i sprowadzanie spółdzielczości do roli pogromcy wielkiego kapitalizmu wydaje się nietyle donkiszoterją, co — daltonizmem. Dla „prawowiernych" spółdzielców schemat akcji wygląda mniej więcej tak: z jednej strony Moloch wielkiego kapitału (jego oblicze przypomina najczęściej fizjonomję hurtownika lub bankiera, rzadziej — przemysłowca), wyznawca rzekomo nieograniczonego współzawodnictwa, z drugiej zaś — sieć placówek spółdzielczych, które potępieniem zysku, a w ostateczności sprawiedliwym systemem podziału zysków w stosunku do obrotów, niepodzielnością funduszu społecznego (rezerwowego) etc. „zmniejszają stan posiadania ustroju kapitalistycznego, ...spychają kapitał do roli drugorzędnej, tworzą zaczątki gospodarki planowej, poskramiają wreszcie w duszach swoich członków pierwiastki nieodłącznej od wolnego współzawodnictwa chciwości". (Thugutt — 168).

Sprawa nie jest jednak tak prosta. Po pierwsze — anachronizmem w epoce karteli i interwencjonizmu jest mówić o „słabo hamowanem prawie nieograniczonego współzawodnika". Po drugie — obecność przedsiębiorstw publicznych, w szczególności państwowych (których obroty w Polsce stanowiły w 1932 r. ok. $^1/_6$ obrotów ogólno-krajowych), wprowadza daleko idącą poprawkę do przytoczonego wyżej schematu, uznającego tylko dwa „fronty", zamiast — trzech [1]). Po trzecie — zasada „zwrotu nadebranego" czyli dywidendy w stosunku do zakupów jest daleko mniej anty-kapitalistyczna, niż się wydaje, albowiem zakup czyli obrót ze spółdzielnią pozostaje w prostej zależności od ilości kapitału.

Po czwarte — sam p. T. przyznaje, iż niepodzielność funduszu społecznego „praktycznie nie ma zbyt wielkiego znaczenia, w razie upadku spółdzielni bowiem ginie razem z nią zwykle i kapitał społeczny" (105). Możnaby się coprawda pocieszać, że fundusz ten jest jednak „widomym znakiem dążenia ruchu spółdzielczego do stworzenia kapitału bezosobowego" (105), gdyby nie dziwne podobieństwo — w praktyce — spółdzielni do spółek akcyjnych i przedsiębiorstw publicznych.

---

[2]) Częściowo pamięta o tem nawet p. Thugutt, pisząc: „W wielu miejscach starego systemu powstaje próżnia. Jeżeli spółdzielczość nie zapełni tej próżni, zapełnią ją przedsiębiorstwa państwowe i municypalne" (178).

Dziewięćdziesięciolecie założenia pionierskjej spółdzielni w Ropuszym Zaułku nie bez kozery sprowadza nas na teren roczdelski, gdzie 28 robotników podejmowało ryzyko o znaczeniu historycznem. Teren ten był nader *realny*, bo chociaż „sprawiedliwi pionierzy" nie poprzestali na sprzedaży kaszy i masła, lecz jeszcze ponadto zgromadzili bibljotekę i, co więcej, kupili teleskop, aby patrzeć w gwiazdy, to jednak głosili na prawo i lewo, że „celem stowarzyszenia jest poprawa społecznego i gospodarczego położenia członków" (Thugutt — 65), nie wahali się mówić, że „dla pobudzenia stowarzyszonych do wspólnej akcji trzeba ich związać złotemi łańcuchami ich własnego wyrobu" (66), a zupełnie „niewiadomo, jak wyobrażali sobie ustrój spólnoty; być może nie wyobrażali go sobie wcale, poprzestając na ogólnikach" (66). I może dzięki temu, właściwemu anglikom, realizmowi spółdzielnie stały się doskonałym hamulcem spekulacji i wygórowanych, niezdrowych ambicyj kapitału — zarówno wielkiego, jak i małego.

Równie doniosłe znaczenie posiada fakt, że proklamowana i realizowana przez spółdzielnie spożywcze sprzedaż czystych i zdrowych towarów „nietylko miała zbawienny wpływ na zdrowotność najszerszych mas, ale podnosiła ich poczucie godności osobistej, przestały bowiem mniemać, iż skazane są przez naturalny porządek rzeczy na żywienie się ochłapami" (Thugutt — 67).

Przed spółdzielczością, pojętą w sensie gospodarczego usamodzielnienia i uaktywniania grup społecznie i ekonomicznie biernych, niedorozwinięty, stoją zadania naprawdę doniosłe, o dużej wartości pozytywnej. Ruch spółdzielczy bynajmniej się nie skończył, aczkolwiek warunki, w jakich ma się teraz rozwijać, słabo przypominają wiek XIX, wiek oszałamiającego (na Zachodzie) powodzenia. W krajach takich, jak Polska, kooperacja nie tylko nie powiedziała ostatniego słowa, ale w alfabecie swych osiągnięć doszła do kilku pierwszych liter alfabetu. O możliwościach, jakie przed nią stoją, świadczy naprawdę imponujący rozrost spółdzielczości ukraińskiej. Można twierdzić — jak to pośrednio uczynił p. Thugutt — że kooperacją ukraińską nie kierują „motywy spółdzielcze, jak i sama organizacja nie jest tylko spółdzielnią" (97), ale skoro „spółdzielczość jest nietyle doktryną oszlifowaną do doskonałości w gabinetach uczonych, ile ruchem samorodnym, dopasowującym się do *potrzeb i chrakteru ludności*, w szczególności zaś przekształcanym przez *poszczególne* grupy zależnie od ich poglądów na *całokształt* spraw gospodarczych" (Thugutt 93 — podkreślenia moje), więc z „nacjonalistycznego odchylenia" spółdzielczości ukraińskiej nie będziemy jej robili zarzutu, jeżeli — a tak jest istotnie — realizuje ona ogólny cel kooperacji: podniesienie i polepszenie stanu gospodarczego najbardziej upośledzonych ekonomicznie grup społecznych.

Spółdzielczości polskiej potrzebny jest dzisiaj nietylko teleskop do wyszukiwania gwiazd — przewodnich. Aczkolwiek brak takiej gwiazdy jest naprawdę przeszkodą do rozwoju, zwłaszcza przy założeniu, że ruch ogarnąć ma masy, to jeszcze nie dowodzi, iż posiadanie teleskopu rozgrzesza zarówno złą gospodarkę, jak i bezideowość, a raczej — marazm samych spółdzielców. Gdyby można było zapał, ofiarność, wysoki poziom ideowy etc. Kooperatystów ukraińskich połączyć z mocną pozycją handlową, pieniądza, kapitalizacyjną i t. d. najlepszych spółdzielni polskich (a takich nie jest znów tak mało), to otrzymalibyśmy — pod warunkiem umasowienia, upowszechnienia tego zjawiska — potężny czynnik społeczno - gospodarczy, z którym musiałby się liczyć i wielki i drobnomieszczański kapitalista, a także przedsiębiorstwo państwowe i komunalne. Nie wiem, czy byłoby to równoznaczne z obaleniem lub zmianą istniejącego ustroju (którego oblicze robi się coraz bardziej — zamazane i nieostre), ale wiem, że „mały człowiek" przestałby być nareszcie „małym człowiekiem".

U W A G I

„UPIOROM W ODPOWIEDZI".

Nigdy nie byłem tak dalece zarozumiałym, ażebym nie zdawał sobie sprawy z możliwości popełniania omyłek, albowiem humanum erare est, a droga do prawdy w zawikłanych naszych stosunkach gospodarczych naprawdę nie grzeszy jasnością. Przyjąłbym więc z pokorą ducha wszystkie mniej czy więcej światłe nauki i upomnienia, jakie w nawiązaniu do artykułu mego "Mylna stawka", zechcieli mi udzielić autorzy, polemizujący z mojemi wywodami (p. M. w nr. 8. „Przeglądu Gospodaczego" i Autor „Wywoływania Upiorów" w nr. 9 „Gospodarki Narodowej"), gdyby nie uczucie, że w wywodach tych formułowanych „pro bono publico", kryje się dużo intencyj „ad usum delfini".

Nie chcę kontynuować wszczętej licytacji, kto w wywodach swych popełnił więcej omyłek „per omissionem", albowiem wystarczy mi fakt, że nie zbito twierdzeń mych o przerostach naszego protekcjonizmu przemysłowego (był to może największy błąd polemizującego, popełniony „per imissionem"). Dowodem zaś jak relatywne są pojęcia o błędach „per omissionem", może być opinja p. Marchwińskiego według której zagadnienie kartelizacji nie wiele ma wspólnego z polityką celną. Ponieważ według mego najgłębszego przekonania kartele są dziećmi wysokich ceł, a według p. Marchwińskiego nic nie mają wspólnego z cłami (dlaczego cło miałoby wstydliwie wyrzekać się ojcostwa?), — pozwolę sobie przytoczyć opinję osoby trzeciej, której chyba o argumentację ad usum nie można posądzać.

W ostatnim czasie wygłosił p. prof. dr. Adam Krzyżanowski odczyt na temat „nożyc cen". Znajdujemy w odczycie tym następujący ustęp:

„Pierwszem słowem autarkji jest — zamknąć granice kraju przed importem. Autarkja krajów rolniczych doprowadziła do wysokich barjer celnych, stwarzających atmosferę cieplarnianej ochrony dla licznych przemysłów. Cła umożliwiły ze swej strony powstawanie karteli, których działanie sumowało się z działaniem intensywnej polityki celnej w kierunku — zwyżki wzgl. stabilizowania cen przemysłowych. Równocześnie kraje przemysłowe zastosowały retorsje wobec wywozu rolniczego z krajów rolniczych, dążących do wyhodowania przemysłu cłami, skutkiem czego ceny płodów rolniczych spadły. Owocem tego systemu celno - kartelizacyjnego jest więc względna drożyzna artykułów przemysłowych, niedostępność ich dla ludności wiejskiej, zatem zmniejszenie się produkcji przemysłowej przy równoczesnej „sztywności" jej cen. Autarkja myli się na każdym kroku: myli się, sądząc, że może być powszechna przy ogólnem założeniu anty - importowem, myli się, sądząc, że można trwale pogodzić malenie obrotów wewnętrznych ze wzmaganiem ekspansji na rynku światowym, i myli się wreszcie, że można zamknąć „nożyce" ochraniając różnemi sztuczkami przemysł i limitując siły konkurencyjne wśród niego, a pozostawiając w wyższym stopniu wolność i indywidualizm gospodarce rolnej".

Albo więc p. prof. Krzyżanowski doprowadza mój „błąd", nazwany przez p. Marchwińskiego „błędem per comissionem" do perfekcji, albowiem mówi nawet o „systemie celno - kartelizacyjnym", albo błąd popełnia p. M. nazywając stwierdzenie niewątpliwej przyczynowości między cłem a kartelem „błędem". Mam nadzieję, że p. M. mi wybaczy, jeśli stwierdzę, że ja w tym wypadku do błędu przyznać się nie mogę.

Analogicznie ujmuje p. M. problem usuwania przerostów kartelowych drogą interwencji celnej. Argumentując, że niewłaściwa jest obniżka ceł, a jedynie dopuszczalna jest groźba importu, stwierdza równocześnie, że groźba ta nie jest sprawą polityki celnej. Niekonsekwentność wywodów tych tych stwierdził już p. J. Poniatowski w nr. 133 „Gazety Polskiej".

Powyższe przykłady wykazują dostatecznie różnice poglądów, utrudniającą porozumienie się odnośnie oceny istniejących niespornych faktów. Muszę jednakże przytoczyć inny przykład, wskazujący na wyciąganie błędnych wniosków, z własnej swej argumentacji. Szanowny Autor „Wywołanych upiorów" przyznaje, że protekcjonizm przemysłowy państw agrarnych szedł w kolejności zjawisk przed reagraryzacją państw przemysłowych. Formułuje z stwierdzenia tego jednakże wniosek o słuszności ataku jako środka defensywnego. Wniosek ten przypomina mi anegdotę o zięciu, który zrzuciwszy teściową ze schodów woła za nią — „dlaczego się tak śpieszysz?".

Protekcjonizm przemysłowy jako akcja wstępna motywowana jest u p. M. tem, iż doświadczenia wykazały rzekomo, że na uprzemysłowienie kraju potrzeba dziesiątków lat, a na reagraryzację tylko trzech. Duch proroczy przeniknął więc inicjatorów protekcjonizmu przemysłowego i w oczekiwaniu późniejszej reagraryzacji, zaczęli oni o 10 lat wcześniej uprawiać swój protekcjonizm jako „środek obronny". Sądzę, że w tak ważnych sprawach gospodarczych nie powinien był decydować „duch proroczy", lecz raczej świadomość o konsekwencji pierwszych kroków.

Cytowane przykłady dotyczące różnej oceny tego samego zjawiska i fałszywej dedukcji, wyprowadzonej z zgodnie ocenionego zjawiska, dają tak dużo substratu polemicznego, że nie sposób wyczerpać go w jednym artykule, temwięcej, że chciałbym chociaż w stylu telegraficznym odpowiedzieć po kolei na pozostałe zarzuty względnie pouczenia.

Wśród zasad, które miały sprostować poglądy czytelnika mego artykułu, stoi na pierwszem miejscu teza, że przemysł polski wymagał przez pierwsze 10-lecie Odrodzonej Polski ponadprzeciętnej ochrony celnej. Przypuśćmy, że tak, to jednakże w myśl tezy tej winna po upływie tychże 10 lat cofać się ochrona celna do granic normalnych, tymczasem po upływie 15 lat występują wszystkie ochronione dziedziny z nowemi, znacznie dalej posuniętemi żądaniami.

Druga teza domaga się ceł w imieniu obrony narodowej. W ostatnim referacie p. prezes Starzyński powiedział kilka trafnych słów o hasłach rzucanych „pod płaszczykiem magicznych słów obrony narodowej". Mogę jedynie dodać, że hasło społeczne zbyt często służy za tarcz dla obrony egoistycznych, zgoła nie narodowych interesów. Kartelom polskim, strojącym się w togę obrony narodowej stanowczo w niej nie do twarzy i zalecałbym inny strój narodowy.

Trzecia teza, przekonywująca o socjalnem znaczeniu uprzemysłowienia Polski, stanowi wybijanie otwartych drzwi. Uprzemysłowienie kraju nie osiągnie się jednakże drogą zabijania w zarodku możliwości ekspansywnych przemysłu przetwórczego, do czego w konsekwencji swej prowadziła dotychczasowa celno - kartelowa polityka. Na podłożu surowcowo - kartelowem wyrasta bowiem skarłowaciały przemysł przetwórczy, nie posiadający ani możliwości konkurencyjnych, ani należytego wewnętrznego rynku zbytu. Taki przemysł nie wchłonie przyrostu ludności.

Sądzę, że trzy tezy te w niczem nie udowadniają koniecznej dalszej bierności polityki rolnej w stosunku do przerostów dotychczasowego protekcjonizmu przemysłowego.

W następnym przykładzie omówiłem już niekonsekwencje wniosku p. M., przedstawiającego protekcjonizm przemysłowy jako quasi profilaktykę przed oczekiwaną reagraryzacją. Do tematu tego dodać muszę kilka dalszych krytycznych uwag. Pan M. prostuje moje uwagi o przyczynach reagraryzacji państw przemysłowych w ten sposób, że twierdzi, iż przyczyną jej nie był, tak jak ja to dowodziłem, szalejący protekcjonizm przemysłowy państw agrarnych, ile raczej spadek spożycia wewnętrznego i zagranicznego, utrata rynków zamorskich itd. Przecież spadek spożycia i utrata obcych rynków są jedynie objawami pochodnemi, — a główną przyczyną, to przecież właśnie protekcjonizm.

Stawiane z patosem pytania, — czy Niemcy przez litość zrezygnują z monopolu masła i jaj, a Francja więszy import zbóż — nie nadają się do dyskusji. Podobne retoryczne zwroty w rodzaju czy Uncle Sam lub John Bull podaruje Niemcom z miłości swe należytości z pożyczek itp., wyglądają efektownie, lecz nie mają istotnej treści. Nie litość, a interes zadecyduje, gdyż zbyt ostra polityka autarkiczna Niemiec, odbija się szkodliwie na ich własnym bilansie handlowym.

Argumenty o „normalnej“ ochronie celnej, o „naturalnym“ prawie opieki, o dumpingu zagranicy i rodzącej się stąd konieczności dodatkowej ochrony w postaci reglamentacji, wreszcie o winie kontrahentów, którzy spowodowali opóźnienie rozbudowy taryfy konwencyjnej itp. mogą stanowić miły temat dyskusyjny, lecz stosunkowo mało zahaczają o tezy, postawione w moim artykule.

Niewątpliwie taktycznie dobrem jest zrzucanie odpowiedzialności za fałszywy protekcjonizm na czynniki rządowe, które ostatecznie decydują o „słusznych“ żądaniach celnych przemysłu. Nie neguję, że w chwili obecnej przemysł nie może już dyktować takich czy innych posunięć, chociaż nie powiedziałbym, ażeby był bez wpływu, lecz w artykule swym raczej wskazywałem na okresy dawniejsze, w których budowano zręby naszej polityki gospodarczej, a w których decyzje kompetentnych ministerstw nie wiele odbiegały od życzeń Lewiatana.

Kończąc krótko replikę swą, chciałbym się stanowczo zastrzedz przeciwko sugerowaniu mi chęci przeciwstawienia się rozwojowi przemysłu polskiego. Uważam, że jest to zbyt naiwne postawienie sprawy. Rozchodziło mnie się bowiem o równomierny rozwój całego życia gospodarczego, zwłaszcza o możliwości rozwojowe rodzimego, polskiego przemysłu przetwórczego. W tym kierunku wypowiadałem się już od szeregu lat i nie kryłem się nigdy z opinją, że cała polityka kartelowa w Polsce szkodziła dotkliwie naszemu życiu gospodarczemu, wywoływała przerosty, perturbacje, wypaczyła rozdział dochodu społecznego, a deficytowym eksportem osłabiała raczej organizm narodowy.

Pan M. twierdzi, że do rozbudowy przemysłu polskiego niema innej drogi, jak tylko przez protekcjonizm. Jeśli protekcjonizm ten ma jednakże być nieograniczony i kryć w sobie wszystkie przerosty naszkicowane przezemnie w zaczepionym artykule, to należy wzbudzić żywszą kontrolę w społeczeństwie nad granicą tak pojętego protekcjonizmu. Największą i najboleśniej dotkniętą warstwą jest rolnictwo i stąd mój apel pod adresem tej warstwy i ich przywódców. Równoczesne odgłosy tak życzliwe jak zaczepne, jakie się w nawiązaniu do artykułu mego ukazały, upewniły mnie raczej w moich dotychczasowych zapatrywaniach. aniżeliby je miały osłabić.

Brunon Sikorski.

ZŁAMANA GRANICA.

Piękna książka Poli Gojawiczyńskiej „Ziemia Elżbiety“ kończy się akordem, który „jak zgrzyt żelaza po szkle przejął wszystkich dreszczem“, ludność górnośląskiego miasteczka Piekary, gnębiona trwającem tyle lat i nie mającem jakgdyby końca bezrobociem, widząc zaś po stronie niemieckiej las kominów, które ponownie okryły się pióropuszami dymów, — gromadnie, biegiem przekracza, łamie granicę. Napróżno grozi strażnik graniczny, napróżno woła do biegnących, aby zawrócili. Zrozpaczony, przerażony bezprzykładnością faktu; któremu zapobiec nie był w stanie, on — waleczny powstaniec śląski — poddaje się największej rezygnacji i z tragicznem przekleństwem ciska swój karabin o ziemię...

Literat, tak jak tłum, kieruje się przedewszystkiem odczuciem, impulsem, nerwami. Można się z takiem „nastawieniem“ nie zgadzać, ale nie sposób go lekceważyć. Bezrobocie, którego klasa robotnicza jest chyba ostatnim sprawcą, musi wycisnąć swe piętno na psychice i na mentalności bezrobotnych. Oni nie mogą i nawet nie chcą domyślać się, dlaczego niemieckie kominy dymią... tuż przy granicy. Obojętne jest również, czy pamiętają, jak to pierwsze w Niemczech obozy pracy prowadziły celowe roboty publiczne nie dajmy na to — pod Wrocławiem, lecz „ausgerechnet“ w okolicach Bytomia, Gliwic czy Zabrza. Wszystko to nie jest ważne, chociaż jest słuszne: ważne jest to, że *tam* pracują, *tutaj* pracy niema.

Bezrobotnemu nie trzeba nawet zabraniać czytania gazet, które mu donoszą o wielkich, masowych robotach publicznych, podejmowanych przez Rzeszę kosztem *miljardów* marek, o gigantycznych planach prezydenta Roosevelta, o t. zw. planie Marqueta we Francji, o wysiłku włoskim, o pracach, wykonanych przez głodnych robotników sowieckich. W bezrobotnym nie trzeba nawet tłumić podziwu dla patosu, z jakim się to wszystko robi „u obcych“, dla heroizmu, dla — jak kto woli — psychozy, ogarniającej masy, wciągnięte w wir pracy, sublimowanej nieomal w religję. Kominy; dymiące po niemieckiej stronie, *wystarczą*.

I dlatego rozumiemy dobrze, dlaczego koncepcja t. zw. obozów pracy urodziła się na Śląsku, gdzie ujrzała światło dzienne pod nazwą Ochotniczych Drużyn Robotniczych. Dlatego rozumiemy dobrze, dlaczego to inicjatywa Funduszu Pracy wyszła z Zagłębi Węglowych, gdzie kontrast pomiędzy tętniącemi a zmartwiałemi warsztatami pracy jest większy, niż gdzieindziej w Polsce. Dlatego też rozumiemy dlaczego problem bezrobocia wszedł — jako jeden z dwuch punktów — do programu tych sfer przemysłowych, które przez usta p. Klarnera „do śmiałego podejścia i mądrego rozstrzygnięcia zagadnienia bezrobocia nie pod kątem interesu bezpośredniego naszych warsztatów pracy, lecz pod kątem najbardziej ważkich interesów publicznych przywiązują jaknajwiększą wagę“.

P. Klarner rozumuje w sposób następujący: należy zmniejszyć nacisk instytucyj ubezpieczeń społecznych na życie gospodarcze (t. zn. w naszem rozumieniu: tak pracodawców, jak i pracobiorców) aby ułatwić wywiązanie się przezeń z obowiązków wobec kas skarbowych. O ile dobrze zrozumieliśmy p. Klarnera, ulga ta nie byłaby oczyszczeniem terenu pod nowe podatki państwowe (jak to sobie wyobraziła „Gazeta Warszawska“ z 18 ub. m.) lecz ułatwieniem zapłaty podatków istniejących i

ich zaległości, a co więcej — zwiększeniem dobrowolnej kapitalizacji i obrotów, co pośrednio odbiłoby się na wzroście przychodów skarbowych bez potrzeby zwyżki chociażby o jeden grosz obciążenia podatkowego każdej poszczególnej jednostki płatniczej. P. Klarner wyobraża sobie, że sumy, „uzyskane dzięki moratorjum ubezpieczeniowemu w zakresie niektórych świadczeń na rzecz ubezpieczonych" możnaby „skierować w inne łożysko, dla innego ważniejszego celu publicznego. Osiągnęlibyśmy tą drogą nietylko równowagę budżetową Państwa w obecnem jego ujęciu, ale umożliwilibyśmy — zapewne — wzmożenie tempa walki z bezrobociem poprzez poświęcenie większych, aniżeli dotychczas, kwot na roboty publiczne. Opanowując bezrobocie, stworzylibyśmy elementarne wartości gospodarcze i przyśpieszylibyśmy twórcze procesy gospodarcze, które automatycznie odbiłyby się na skali wpływów do Skarbu"). [1]).

Niewątpliwie w rozumowaniu p. Klarnera są pewne niejasności i usterki. Trudno bowiem przypuszczać, aby redukcja „świadczeń na rzecz ubezpieczonych" była pod względem społecznym, ekonomicznym i taktycznym drogą najlepszą, raczej należałoby przypuszczać, że w grę wchodzi redukcja opłat (składek) których ciężar ma wynieść jakoby 550 milj. zł. rocznie. Zmniejszając opłaty na rzecz instytucyj ubezpieczeń społecznych, a nie redukując świadczeń, poszlibyśmy drogą — jak się zdaje — najwłaściwszą, jednakże należy mieć na uwadze, że: 1) wynikająca z takiego postawienia sprawy i skądinąd konieczna oszczędność kosztów administracyjnych ubezpieczalni nie będzie tak znaczna, by to mogło wydatnie zaważyć na szali walki z bezrobociem, 2) w konsekwencji proponowanych przez p. Klarnera posunięć zmniejszą się prawdopodobnie lokaty rezerw ubezpieczalni, zasilające — jak wiadomo — przeważnie nasz długoterminowy kredyt publiczny, w lwiej części idący na potrzeby właśnie inwestycyjne.

Nie tyle więc może sposób, co istotny cel zarządzeń stanowi prawdziwy wdzięk przemówienia p. Klarnera. I tak też powinny zrozumieć je i czynniki rządowe i przedsiębiorcy, których interesy bezpośrednie chciałby p. prezes podporządkować „najbardziej ważkim interesom publicznym". To też, nie negując propozycji bardziej ekonomicznego gospodarowania groszem publicznym przez instytucje ubezpieczeń społecznych i nie odrzucając a limine koncepcji obniżki składek (aczkolwiek obie te metody nie dadzą w praktyce zbyt wielkich rezultatów), uważalibyśmy już dzisiaj za aktualne zastanowić się nad innemi możliwościami uruchomienia na szerszą, niż obecnie, skalę programu *narodowych robót publicznych*.

Jedną z takich możliwości byłby w naszem mniemaniu wewnętrzny kredyt publiczny. Chodziłoby tutaj nietyle o bony Funduszu Inwestycyjnego (które okazały się o wiele korzystniejsze dla wierzyciela, aniżeli dla dłużnika), ile raczej o weksle skarbowe z terminem płatności po ½ roku i po 1 roku, oprocentowane, płatne z przyszłych budżetów państwowych, a przeznaczone wyłącznie do finansowania robót publicznych. Licząc się z faktem wzrostu płynności na rynku (dowodem tego jest zwyżka kursów akcyj i papierów o stałem oprocentowaniu) i idąc naprzeciw postulatów, wyrażonych przez p. Klarnera, proponujemy wysokość emisji weksli skarbowych ustalić w pewnej zależności od redukcji składek na ubezpieczenia społeczne [2]). Niesposób finansować jednak roboty publiczne kredytem krótkoterminowym, jeżeli się zgóry nie uzna tego kredytu za formę przejściową, tymczasową, będącą niejako pomostem do większej operacji kredytowej o charakterze długoterminowym.

Jednocześnie należałoby zastanowić się nad rewizją tych wydatków skarbowych, które bez większej szkody dałyby się przekształcić na wydatki inwestycyjne. Idąc po linji żądań maksymalnych, głównie osobowych; gdyby koncepcja „Czasumcji — t. zn. kosztem wydatków konsumcyjnych, głównie osobowych, gdyby koncepcja „Czasu" (przejście z systemu wypłat poborów „na pierwszego" do systemu wypłat na koniec miesiąca) miała być zrealizowana, to tylko po to, aby uzyskana tą drogą oszczędność poszła na celowe roboty publiczne. Jeżeli jednak odrzucimy ten maksymalistyczny "modus procedendi", to potrzebne środki znajdą się w dziedzinie — wydatków subwencyjno-interwencyjnych. Zmniejszenie powiedzmy, kosztów interwencji zbożowej przyczyniłoby się do uruchomienia takich prac, któreby działały dodatnio na wzrost globalnej kwoty zarobków i tem samem na wzrost spożycia. Nie trzeba bowiem zapominać, iż obecna nędza wsi polskiej w znacznej części wynika z bezrobocia ludności mało i bezrolnej, która dorabiała w fabrykach i na robotach publicznych. Skoro uruchomienie pierwszych wymyka się z pod bezpośredniego wpływu Państwa, to pozostaje uruchomienie drugich, zależnych wprost od środków, jakiemi dysponuje Państwo.

Nie przypuszczamy, żeby i operacje kredytowe i operacje budżetowe (które zresztą nie są wszystkiem w tym zakresie) dały w sumie pokaźne kwoty. O „gigantycznym" zakroju robót inwestycyjnych w polskich warunkach mowy być nie może. Z drugiej atoli strony nie wolno dopuścić, by te skromne środki, jakie dzisiaj stoją do dyspozycji, rozgospodarowano w ten sposób, że małą kwotę dzieli się (aby „sprawiedliwości" stało się zadość) pomiędzy b. dużą ilość punktów i ośrodków, przez co zamiast inwestycyj mamy najczęściej łataninę, zatykanie dziur i t. p. Koncentracja wydatków przez obsłużenie mniejszej ilości objektów ale zato wykonanych i dających się rentownie eksploatować w pełnych 100% — oto tendencja, jaka naszem zdaniem powinna przyświecać podjętym na większą skalę robotom publicznym.

Wiemy, że jesteśmy krajem ubogim i dlatego nie możemy podejmować operacyj ryzykownych. Ale jednocześnie brak nam poczucia potrzeby *patosu społecznego*. Małostkowość wyrządza naszemu społeczeństwu dużą krzywdę *moralną*,

[1]) Cytowane w/g „Codziennej Gazety Handlowej" Nr. 112 z 18. V.

[2]) Jeżli składki obniżymy o 10% czyli o 55 milj. zł., to emisja weksli półrocznych mogłaby wynieść 110 milj. zł.

sprzyja bierności w walce z kryzysem zaufania, ułatwia defetyzm: rozgrzesza lenistwo i doprowadza coraz częściej do stanów zapalnych, które widzą nie ekonomiści, lecz literaci, skłonni zresztą do egzaltacji i przejaskrawień. Uruchomienie na większą skalę robót inwestycyjnych wciągnięcie w ich orbitę przedewszystkiem młodszego, a następnie i starszego pokolenia bezrobotnych — oto akcja o kolosalnej, a tak mało docenianej, dynamice *społeczno - narodowej.*

A. F.

„ROZEJM" TRAKTATOWY.

Polityką hadlową zagraniczną zajmują się u nas, jak wiadomo, dość mało. Nic dziwnego: powielokroć stwierdzono, iż w kraju, posiadającym w ciągu ostatnich lat przywóz wartości 2 zł. miesięcznie na głowę, a wywóz niewiele co większy, kwestje stosunków gospodarczych z zagranicą stać muszą z natury rzeczy na dalszym planie zainteresowań. Niemniej jednak zwraca się ostatnio uwagę — i słusznie — że od rozwoju naszych obrotów towarowych z resztą świata zależy w tej chwili dla nas bardzo, ale to bardzo wiele. Nie wchodząc w szczegóły tego dowodzenia (które zresztą nie ma stanowić przedmiotu niniejszych uwag), powiedziećby można, iż od sytuacji naszego bilansu handlowego w najbliższej i nieco dalszej przyszłości zależeć będzie czy zdołamy utrzymać równowagę pomiędzy zwiększonym popytem na zagraniczne surowce (popytem, powstającym w coraz większej mierze naskutek naturalnego ożywienia w naszym przemyśle), a naszą wypłacalnością zagranicą? W skrócie zatem: czy uda się nam odpowiednio zwiększyć wywóz, aby mimo zwiększonego przywozu utrzymać konieczne dla nas saldo bilansu handlowego?....

Ta dygresja miała posłużyć nam tylko do podkreślenia, iż problematów naszej zagranicznej polityki handlowej nie można w chwili obecnej rozpatrywać sub specie „dwuzłotowego przywozu", a więc jako wyraźną quantité negligeable w całokształcie naszej polityki gospodarczej. Tak się jednak właśnie dzieje — i prowadzi, co więcej, do bardzo poważnego pomięszania pojęć w różnych sprawach z polityką handlową związanych. Wiadomo, że nic nie mąci tak silnie właściwej opnji jak powierzchowny i lekceważący stosunek do tematu, o którym opinję się wydaje. Sprawa naszych ostatnich rokowań handlowych z całym szeregiem państw, rokowań, wywołanych wprowadzeniem przez nas w życie nowej taryfy celnej, jest właśnie takiem zagadnieniem, na które nikt właściwie nie posiada właściwego i mocno ugruntowanego poglądu. Bo też i nikt nie zajmuje się zbytnio tem zagadnieniem. Czasem tylko — tu i owdzie — rozlegnie się jakiś „pisk" tej czy innej produkcji, poszkodowanej chcący czy niechcący przez jakąś nowozawartą umowę. Ale nawet w tem narzekaniu jest spora doza zastraszenia, czy wogóle „wypada" żalić się na układ, o którego ogólnem znaczeniu delikwent, tracący na nim, nie ma właściwie pojęcia. Dość, że w gruncie rzeczy nikt właściwie nie zdaje sobie, o ile sądzić można, sprawy, jak to właściwie jest z tą nową taryfą celną i z temi traktatami, ostatnio zawartemi — i z ich, skutkami dla całości gospodarstwa narodowego Polski.

A tymczasem opinja publiczna nie zdaje sobie sprawy, iż od marca — kwietnia r. b. Polska zaczyna posiadać nową taryfę konwencyjną, silnie obniżającą prohibicjonistyczne wyżyny pierwotnej taryfy autonomicznej, że nowe traktaty handlowe, jakie weszły wówczas w życie zawierają poważne kontyngenty przywozowe do Polski i możliwości na wywóz produktów polskich do innych krajów, że — słowem — unormalizowano w znacznej mierze nasz stosunek w zakresie obrotu towarowego z zagranicą. Nie jest to bynajmniej konstatacja formalna, nad którą przejść należy do porządku dziennego. Musi i będzie ona miała swój dalszy ciąg w postaci znaczniejszych przemian zarówno w układzie terytorjalnym naszego wywozu jak i zmianach w charakterze naszego przywozu, jak wreszcie — co jest, jak mówiliśmy, najważniejsze w chwili obecnej — w sytuacji naszego bilansu handlowego.

Jak wyglądają te sprawy w najogólniejszym przekroju? Wiemy, iż polski handel zagraniczny nie posiada do dzisiejszego dnia swych trwale określonych tendencyj rozwojowych. Nie posiada i posiadać nie może. U źródła tkwi bowiem tutaj „wada organiczna": niemożność trwałego uregulowania stosunków gospodarczych z dwoma największemi naszemi sąsiadami — od zachodu i od wschodu. Polski wywóz pcha się tam, gdzie pchać mu się pozwalają. Przez szereg lat dwie trzecie jego szło drogą najmniejszego oporu na najbliższe rynki zachodnie. Kiedy go stamtąd wyrzucono, rozlał się na Europę zachodnią („odkryto" wówczas Anglję...), na kraje Europy północnej i trochę, gdzie się dało. W okresie kryzysu nowego intruza tu i owdzie poturbowano na nowych rynkach porządnie. Otrząsnął się i [illegible] szukać nowych możliwości. W rezultacie w strukturze naszej ekspansji handlowej mamy dziwny konglomerat naturalnych możliwości zbytu (Niemcy, Czechosłowacja, Austrja), nowozdobytych rynków korzystnych (Anglja, kraje skandynawskie), nowozdobytych rynków „wegetacyjnych", (reszta zachodniej Europy), rynków niepewnych (ZSRR) i rynków słabo osiągalnych (Bałkany, kraje zamorskie). To wszystko trzeba było po wprowadzeniu naszej taryfy celnej jakoś uporządkować i zabezpieczyć co się da i gdzie się da. Pierwszy akt tej niewdziecznej pracy mamy poza sobą...

Jakie są jego wyniki? W zasadzie dobre, jakkolwiek w wielu wypadkach — niebezpieczne na przyszłość. W dzisiejszym stanie rzeczy najlepiej jest wogóle w naszej sytuacji rokować jaknajmniej i starać się uzyskiwać korzystne pozycje bądź via facti, bądź — ostatecznie — jakemś „łataniem" drobnemi umowami. Wprowadzenie nowej taryfy celnej musiało, naodwrót, pociągnąć za sobą t. zw. wielkie rokowania. Państwa, które już oddawna nie były zadowolone ze stosunków z nami, ale które w normalnych warunkach siedziałyby jeszcze przez dłuższy czas cicho, poczęły się denerwować. W rezultacie mamy szereg traktatów „zabezpieczających" tj. takich, gdzie wzamian za większe lub

mniejsze gwarancje status quo dla naszego wywozu zapłaciliśmy wyraźnemi ustępstwami w przywozie. Bilans z temi krajami naogół zatem się pogorszył, jakkolwiek są wyjątki. Do tej grupy „zabezpieczających" traktatów zaliczymy umowy z Belgją, Holandją, Swecją, Danją, kończoną obecnie umową z Finlandją itp. Tam natomiast, gdzie chodziło o poprawę sytuacji, istniejącej przed nową taryfą, nie uzyskaliśmy wiele. Z Francją i Włochami rokowania zerwały się. Ze Szwajcarją bilans nasz po umowie się silnie pogarsza. Wyjątek pod tym względem stanowi doskonale znegocjowana umowa z Czechosłowacją, gdzie zresztą też żadnego wielkiego powodzenia osiągnąć, oczywiście, nie mogliśmy. Układy z Niemcami i ZSRR jako posiadające charakter zupełnie specjalny — pomijamy.

Co dają nam zatem zawarte dotychczas traktaty? Naogół — nie powiększenie wywozu, ale raczej przywozu. Nie należy się zrażać jest to raczej dobrze, gdyż jednocześnie w stosunku do krajów, na których nam zależy, uzyskujemy gwarancję ciągłości naszego wywozu. Poprostu przestajemy powoli być intruzem. Ale praca nie jest na tym odcinku bynajmniej skończona. W tej chwili przeżywamy niejako „rozejm" pomiędzy dwiema serjami walk traktatowych. Pozostaje nam jeszcze wiele do zabezpieczenia (Anglja) i do poprawienia (ponownie — Francja, Włochy i Szwajcarja). To będzie drugi etap naszej pracy negocjacyjnej. W mglisto zarysowującym się etapie trzecim można przewidzieć, być może, szersze uregulowanie naszych stosunków z Niemcami (o ile załatwi się kwestję dewizową) i, kto wie, czy nie konieczność rozmów ze Stanami Zjednoczonemi. To ostatnie nie będzie, jak przewidujemy, ani łatwe ani krótkie.

k. p.

ZŁOTE MONETY.

Przed dwoma przeszło laty (w numerze 10 z dn. 15 maja 1932 r.), w notatce p. t. „Ruble i talary" omawialiśmy na łamach „Gospodarki Narodowej" anomalję, jaką niewątpliwie jest bicie złotych monet carskich w Holandji, specjalnie dla zaspokojenia potrzeb polskich ciułaczy.

Staraliśmy się wskazać na to, że szczególny posmak tej sprawie nadaje okoliczność, iż jedyny analogiczny wypadek na przestrzeni ostatnich stu lat dziejów gospodarczych świata stanowi masowa produkcja t. zw. talarów Marji Teresy, na potrzeby handlu z półdzikiemi plemionami afrykańskiemi, darzącemi większem zaufanem krążki z wizerunkiem statecznej Imperatorowej austryjackiej niż obiegowe monety francuskie, z powiewnym symbolem Republiki.

Samo porównanie wystarczy, by uprzytomnić smutnie niski poziom uświadomienia gospodarczego ludności Rzeczypospolitej.

Jednakże fakt jest faktem. Imperjały i półimperjały „made in Netherland" z podobizną miłościwie nam niegdyś panującego Mikołaja II płyną wciąż do Polski, przysparzając pokaźne zyski pomysłowym fabrykantom.

Przyczyn powodzenia tej imprezy należy się dopatrywać u źródeł owego „kryzysu zaufania", który z taką siłą ogarnął najszersze masy, szukające w złocie „jedynej pewnej lokaty".

O tem, że „tezauryzatorzy" muszą w końcu na lękliwości swej stracić pisaliśmy już na łamach „Gospodarki" niejednokrotnie. (W szczególności zagadnieniu temu był poświęcony cykl artykułów w numerze 22/1932 r.).

Ostatni spadek ceny złota potwierdza tezę tę w całej rozciągłości. Na spadek ceny złota złożyło się wiele okoliczności, jak przedewszystkiem wzrost wydobycia tego metalu, będący rezultatem obniżki kosztów produkcji, a umożliwiający tem samem rozszerzenie jej zakresu.

Dalej czynnikiem, oddziaływującym w kierunku zniżki ceny złota mogła być fala detezauryzacji, która objęła ostatnio cały szereg krajów.

Tak, czy inaczej wydaje się, że niski poziom ceny złota nie jest zjawiskiem przypadkowem. Należy przypuszczać, że w okresie przynajmniej kilku najbliższych miesięcy na rynku złota panować będzie tendencja słaba.

Moment ten wydaje się niezwykle wskazany dla położenia kresu upodobaniom do tezauryzacji złotych rubli. Jedyną możliwą formą oduczania szerokich rzesz drobnych ciułaczy od lokowania swych oszczędności w rublach byłoby danie im możności kupowania — polskich złotych monet.

W obecnych warunkach każdy ma prawo przynieść do Mennicy Państwowej złoto z poleceniem wybicia złotych monet. Jednakże tylko bardzo niewielu z pośród ciułaczy korzysta z tego prawa. Po pierwsze ze względu na zwykłe w takich wypadkach zjawisko niechęci do „fatygowania się po urzędach", następnie wskutek tego, że rzadko kto ma złota tego tyle, by mu się wydawało celowem bicie zeń monet, wreszcie czynnikiem odstraszającym są stosunkowo wysokie koszty bicia, zrozumiałe przy niewielkiej ilości wybijanych monet. W rezultacie drobni ciułacze kupują ruble — zaś uciekające na spokojne wody „rekiny kapitalizmu" — sztaby złota.

Z obecnych niskich cen złota możnaby skorzystać, by wypuścić złote monety. Oczywiście nie chodzi tu o przejście na walutę złota. Możnaby wypuścić złote monety na warunkach podobnych do tych, w jakich czyniła to Austrja przed kilku laty. W każdym banku, czy w każdym kantorze wymiany można było tam dostać złote szylingi za cenę kosztów bicia. Monet tych było tak dużo, że każdy, kto chciał je nabyć, z łatwością mógł je dostać, bez konieczności uciekania się do skomplikowanej procedury oddawania złota do bicia monet na własny rachunek. Cena 25-szylingowego dukata wynosiła 26 szylingów. Agio to nie stwarzało bynajmniej wrażenia, że waluta papierowa jest niepełnowartościowa. Przeciwnie dla pokolenia, które przeżyło inflację, świadomość, że za stosunkowo drobną różnicę ok. 1 szylinga można wymienić pieniądze papierowe na piękną złotą monetę z herbem Republiki była pewną podwaliną zaufania do stałości waluty tego nowego organizmu państwowego.

Wydaje się, że tak samo byłoby i u nas, gdybyśmy mieli więcej polskich dukatów. Złoto zaw-

sze miało i ma specjalną siłę oddziaływania na wyobraźnię ciułacza. Fakt, że prawdziwych złotych monet nie trzeba gdzieś szukać po zakamarkach, przepłacając niejednokrotnie za możność ich wydostania lecz, że w każdym banku, za zwrotem niewielkich kosztów bicia można z łatwością je kupić byłby przedewszystkiem jednym z czynników, hamujących pęd do tezauryzacji.

Poza efektem gospodarczym nie mniej ważnym byłby dodatni efekt polityczny, którego możnaby się spodziewać w wyniku pojawienia się większej ilości złotych monet polskich i zniknęłaby ostatnia forma „dwuwalutowości", zniknąłby symbol „spokojnych, dobrych czasów" zawarty w carskich rublach. Ktoby starał się zdobywać holenderskie imperjały, płacąc koszta bicia, transportu (z wysokim ubezpieczeniem), zysku przedsiębiorców, produkujących te monety i pośredników, rozprowadzających je po kraju, gdyby w każdym miasteczku można było dostać polskie dukaty?

Przecież chyba Mennica Państwowa w tych warunkach powinna być konkurencyjna, w zakresie kosztów bicia i rozprowadzania złotych monet.

Sprawa wydaje się ważną. Spadek zaś ceny złota stwarza chwilę odpowiednią do likwidacji ery złotego rubla, jako widomego znaku „pewności i zaufania" z czasów niewoli.

b. ł.

NOTATKI

WYSTAWA LNIARSKA.

Mniejwięcej trzy lata temu „sprawa lniarska" nabrała charakteru szczególnie ostrego i aktualnego. Ze środowiska działaczy na polu organizacji produkcji lnu wysunięty został szereg krańcowych nieraz projektów, zmierzających do zastąpienia na wielką skalę przywozu egzotycznych surowców włókiennicych surowcem lnianym. Nie cofano się przed projektami bardzo poważnego obciążenia celnego surowców importowanych, a nawet przed projektami likwidacji niektórych działów produkcji włókienniczej, opartych o te surowce. Druga strona, to znaczy przemysł bawełniany i jutowy, nietylko sprzeciwiała się zbyt radykalnym projektom, ale wręcz dowodziła niemożliwości i nieracjonalności jakichkolwiek zmian w dziedzinie spożycia, juty i bawełny, wykluczała możliwość poważniejszego rozwoju spożycia tkanin lnianych.

Miniony okres czasu pozwala dziś — bez uciekania się do szczegółowej analizy biegu wypadków i obustronnych argumentów — na sformułowanie kilku przynajmniej niespornych obserwacyj. Obserwacyj, które narzucają się same, przy zwiedzaniu wystawy lniarskiej. Za punkt wyjścia bierzemy tu przytem fakt, iż polityka pro-lniarska nie posunęła się do posunięć radykalnych, a operowała [illegible] pewnymi [illegible] środkami, jak dajmy na to zakupy wojskowe, subsydjowanie działalności organizacyjnej, czy wreszcie wpływanie na niektórych wielkich konsumentów tkanin, w kierunku zastępowania surowców importowanych lnem. Ograniczenia przywozu stosowane były odcinkowo, i to nie bez daleko idących wyjątków, z grubsza biorąc przywóz pozostał bezcłowym.

Pomimo tego umiarkowania w polityce pro-lniarskiej, wystawa w Dolinie Szwajcarskiej daje nam kolosalnie zmieniony w porównaniu ze stanem z przed trzech lat obraz wytwórczości i zużycia surowca lnianego. Dwie rzeczy przytem wybijają się na front. Po pierwsze kolosalny wzrost możliwości użytkowania przędzy i tkaniny lnianej, po drugie poważne zwiększenie koła wytwórców wyrobów z surowca lnianego. Jedno i drugie stanowi wykładnik organicznego opartego na mocnych gospodarczych podstawach postępu w dziedzinie spożycia lnu. Len, jako surowiec dla tkanin dekoracyjnych, używany jest nietylko w ludowym przemyśle rejonu lniarskiego, i w pionierskich warsztatach artystycznych, jak Ład. Z lnu produkuje się nietylko tkaniny dekoracyjne i standartowe tkaniny użytkowe, ale artykuły mody damskiej i męskiej, ba, nawet ornaty kościelne. Nie mówiąc już o szeregu tkanin specjalnych, jak namiotowe, dla produkcji cerat, itd. Na wystawie lniarskiej widzimy stoiska nietylko starych fabryk lniarskich, które nawiasem mówiąc zwiększyły i wzbogaciły swoją produkcję, ale i fabryk nowych, które przędzalnictwem i tkactwem lniarskiem względnie zużytkowaniem siemienia lnianego zajęły się dopiero w okresie lat ostatnich.

Nie zamierzam podejmować dyskusji, czy w polityce lniarskiej zrobiono za dużo, czy za mało, czy polityka ta w dalszym ciągu odznaczać się powinna dotychczasowem, czy jeszcze większem umiarkowaniem, czy też wejść na tory posunięć bardziej radykalnych. Nie zamierzam, gdyż mówię w tej chwili nie o problemie lniarskim, ale o wystawie lniarskiej. W tych ramach pragnę stwierdzić, że rebus sic stantibus, przy takiej właśnie polityce, jaka była prowadzona, osiągnięto bardzo wiele, i że to, co osiągnięto, idzie bez wątpienia po najskuteczniejszej i najbardziej celowej linji. Po linji tworzenia gospodarczych warunków zwiększenia spożycia lnu, a nie po linji przymusu spożycia lnu, po linji zwiększenia kapitału zaangażowanego w przeróbce lnu, nie zaś obciążania przemysłów, pracujących na innych surowcach. To pierwszy moment. A moment drugi, to to, że skoro mamy do czynienia z takim właśnie układem polityki i z tego rodzaju rezultatami pracy, to wśród osiągniętego postępu szukać musimy nietylko, a raczej nie tyle w posunięciach polityczno - gospodarczych: co w aktywności czynnika ludzkiego, który wziął na siebie wielkie zadanie rozwoju produkcji lniarskiej i w umiejętnem zmobilizowaniu części przynajmniej opinji społecznej na rzecz haseł lniarskich.

Niewątpliwie również stwierdzić można, że do

pewnego stopnia zniwelowany został handicape, obciążający tkaninę lnianą w walce konkurencyjnej z bawełnianą. Mam tu na myśli fakt, iż rozwój spożycia lnu napotykał, a w mniejszym stopniu napotyka i dziś jeszcze, na trudności, związane nie z nieuchronną różnicą w cenie tkaniny lnianej (z różnicą kompensowaną w szeregu zastosowań przez większe wartości tkanin lnianych), ale z momentami przypadkowymi i dającymi się usunąć. Do takich momentów należy konserwatyzm konsumenta i przetwórcy, niedoskonałość organizacji obrotu lnem, usterki jakościowe naszej produkcji. To, że akcja pro - lniarska uderzyła w ten właśnie odcinek, pozwala ustosunkować się pozytywnie nietylko do tego, co zostało zrobione, ale i do nadziei na dalszy rozwój tej akcji.

Wystawa lniarska ilustruje nam, w jak znacznym stopniu zastąpić można mechaniczny produkcjonizm rozumną i energiczną aktywnością.

c. b.

SZMUGIEL.

Istnieje cały szereg zagadnień ekonomicznych, które nie mogą być dostatecznie jasno oświetlone, gdyż ich „odwrotna strona medalu" wychodzi poza granice legalności i wskutek tego nie da się ująć w cyfry statystyczne. Tak jest np. ze sprawą wysokości taryfy celnej wogóle, a poszczególnych stawek celnych w szczególności. Wydaje się bowiem, że jedną z lepszych ilustracji w jakiej mierze ta, czy inna stawka taryfy celnej jest zbyt wysoką — byłoby np. cyfrowe określenie szmuglu artykułu, który tą stawką został obłożony.

O tem, że szmugiel uprawiany zawodowo obliczony jest na zysk, chyba nikt nie wątpi. Żeby szmugiel się opłacał musi być oparty o kalkulację, wynikającą z dużej różnicy cen po jednej i po drugiej stronie granicy. Różność cen stwarza przedewszystkiem taryfa celna. Im większa stawka celna, tem większy zysk przemytnika, tem większe rozmiary szmuglu.

Polska straż graniczna walczy niezwykle ostro z przemytnictwem. Pomimo to rozmiary szmuglu są bardzo wielkie. Oznacza to, że taryfa celna polska jest tak wysoka, że przemytnictwo opłaca się nawet pomimo dużego ryzyka (które oczywiście musi być „wkalkulowane").

O rozmiarach szmuglu, gdyby kto weń wątpił może przekonać mała przechadzka po Warszawie (zapalniczki!), czy objazd zapadłych wsi kresowych gdzie „pod każdą strzechą" trafia szmuglowana kawa, herbata, lub nawet cukier. Z gazet dowiadujemy się niemal codzień o odkrytych przez straż graniczną nowych udoskonaleniach technicznych, zastosowanych przez przemytników.

Opłacalność tych inwestycji swego rodzaju — wynika z wysokich stawek celnych.

Zagadnienie szmuglu jest u nas obecnie niewątpliwie znacznie poważniejsze, niżby się to mogło wydawać.

Oprócz szmuglu zawodowego istnieje szeroko rozpowszechniony „szmugiel towarzyski", stosowany dosłownie przez "wszystkie stany". Wystarczy posłuchać poleceń na temat „przywiezienia z zagranicy" rozmaitych artykułów, któremi się obarcza każdego wyjeżdżającego choćby na krótko z Polski. Szmuglowanie stało się już zwyczajem, demoralizującym nawet te warstwy, od których należałoby oczekiwać największego zrozumienia ujemnych konsekwencji tego procederu. Wydaje się, że „szmugiel towarzyski" jest niemniej niebezpieczny od szmuglu dla zarobku. Wysokość stawek celnych nie stanowi „okoliczności łagodzącej" dla uprawiających przemyt. Nie wydaje się jednak, by już chociażby ze względu na moralność społeczeństwa w zakresie spraw gospodarczych było pożądanem wprowadzenie stawek celnych, których absurdalna wysokość skłania do przemytnictwa. Nie wydaje się również celowem wydawanie przepisów celnych, zabraniających przywozu nawet ściśle dla własnego użytku przeznaczonych drobiazgów.

Wysokie stawki celne i zbyt rygorystyczne przepisy są obchodzone. Rezultaty tego stanu rzeczy, tak gospodarcze, jak i wychowawcze są fatalne.

Przeciętny obywatel rozumuje bowiem w ten sposób, jak ów palacz, który zapytany, dlaczego pomimo wysokiego stanowiska urzędowego ma nieostemplowaną zapalniczkę odrzekł: „Gdyby stempel kosztował mnie dwa złote tobym zapłacił i wolał mieć czyste sumienie obywatelskie, dziesięć złotych to na moje sumienie zbyt wiele".

Może to smutne, ale prawdziwe. Z takiemi nastrojami społeczeństwa trzeba się liczyć.

b. ł.

Rynek Metalowy i Maszynowy
Tygodnik
Informuje, pomaga w zakupach i sprzedaży żelaza-stali-narzędzi-maszyn rolniczych i przemysłowych.
Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką pocztową zł. 5.—
Adres Redakcji i Administracji: Poznań ul. Wielka 10 tel. 22-77
Przedstawicielstwo w Warszawie: ul. Targowa 44 m. 35 tel. 10-14-67

Miesięcznik

DOM OSIEDLE I MIESZKANIE

ISTNIEJE 6-ty ROK

Oblicze ekonomiczne i techniczne sprawy mieszkaniowej.—Racjonalne planowanie i budowa osiedli, domów i miast. Regjon. Dom i ogród własny. Wnętrze.

WARSZAWA

Krakowskie Przedmieście 5 m. 5.

Telef. 202-05

Konto czekowe w P. K. O. 23988

NUMERY OKAZOWE NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE

BIULETYN INFORMACYJNY Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdyni

jest pismem gospodarczem, poświęconem przedewszystkiem ZAGADNIENIOM HANDLU ZAMORSKIEGO i ŻEGLUGI

Podaje wyczerpujące informacje o ORGANIZACJI EKSPORTU polskiego.

Specjalnie uwzględnia sprawy PRZEMYSŁU i HANDLU RYBNEGO NA WYBRZEŻU.

Ukazuje się trzy razy w miesiącu w rozmiarze 28 — 32 stron.

Prenumerata roczna złotych 12.

Redakcja i Administracja: Gdynia, Świętojańska 9 Izba Przemysłowo-Handlowa.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Marjensztadt 8. Tel. 222-39.

POLSKIE TOWARZYSTWO

HANDLU RUDĄ I ŻELAZEM

JULJAN I EDWARD BRYGIEWICZ

EKSPORT WYROBÓW HUTNICZYCH

Warszawa, ul. Hortensji 6.

Tel. 2-13-58, 613-32
5-20-12, 613-36